

Iran wybrał postęp

22 maja 2017

Iran wybrał otwarcie na świat, odrzucając ekstremizm – powiedział zwycięzca wyborów prezydenckich.

Piątkowe wybory wygrał Hasan Rouhani, przedłużając swój mandat na drugą pięcioletnią kadencję. Zwyciężył już w pierwszej turze, uzyskując 57 proc. głosów, podczas gdy jego najpoważniejszy rywal Ebrahim Ra'isi zdobył 38,5 proc. Frekwencja wyborcza była bardzo wysoka – na poziomie 73 proc. Z powodu tak wielkiego zainteresowania głosowaniem czterokrotnie przedłużano godziny funkcjonowania komisji wyborczych.

Wybory prezydenckie w Iranie organizowane są według oryginalnej, nie spotykanej nigdzie na świecie, ordynacji. Teoretycznie w wyborach może startować każdy uprawniony do tego obywatel, który jednak musi być oficjalnie zarejestrowany. W tegorocznych wyborach zarejestrowano ogółem 1 636 osób, w tym 137 kobiet. Z odmową wpisu na wstępną listę kandydatów spotkał się były prezydent w latach 2005-2013 Mahmud Ahmadineżad oraz jego bliski współpracownik, były wiceprezydent Hamid Bakai, pełniący obecnie mało znaczącą funkcję prezesa Organizacji Dziedzictwa Kulturowego, Rzemiosła i Turystyki. Ajatollah Ali Chamenei, będący w teokratycznym Iranie faktyczną głową państwa, oświadczył, że udział Ahmadineżada w wyborach doprowadziłby do „politycznej polaryzacji” i byłby „szkodliwy dla kraju”. Chamenei próbował przekonać Ahmadineżada do rezygnacji z kandydowania, jednak ten nie posłuchał jego rady.

O tym, kto ostatecznie zostanie dopuszczony do ubiegania się o urząd prezydenta, decyduje 12-osobowa Rada Strażników. Dokonuje ona selekcji zarejestrowanych potencjalnych kandydatów, spośród których wybiera z reguły sześć osób i taką listę przedstawia Ministerstwu Spraw Wewnętrznych do

formalnego zatwierdzenia. Rada Strażników rozdzieliła kandydatów po połowie – zezwoliła na start trzech zaliczanych do obozu reformatorskiego i trójki reprezentantów orientacji konserwatywnej. Jednakże do prezydenckiego wyścigu wystartowało ostatecznie tylko czterech kandydatów po tym, gdy dwaj pretendenci wycofali się z rywalizacji, apelując do swoich zwolenników do oddania głosu na jednego z głównych rywali. Dotychczasowy I wiceprezydent Eszak Dżahangiri wsparł Rouhaniego, natomiast burmistrz Teheranu, były dowódca sił lotniczych Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej Mohammad Ghalibaf nawoływał do głosowania na Ra'isiego. Było z góry wiadomo, że rywalizacja będzie przebiegać pomiędzy tymi dwoma konkurentami. Pozostali na placu boju kandydaci praktycznie się nie liczyli i byli wobec nich tylko tłem. Bliski współpracownik ajatollaha Chameneiego i członek jego rady doradczej Mostafa Aka-Mirsalim oraz Sejed Mostafa Haszemi-Taba, wiceprezydent za kadencji reformistycznych prezydentów Rafsandżaniego i Chatamiego, zebrali w sumie niecałe 700 tys. głosów, choć w wyborach głosowało ponad 41, 5 miliona osób.

Wybory były zatem dwubiegowe. Wybierano pomiędzy mniej lub bardziej reformatorskim kursem i otwarciem na świat, a tradycyjnym konserwatyzmem. Podczas kampanii Rouhani prezentował wizję bardziej otwartego, nieco bardziej demokratycznego państwa zapowiadając więcej wolności, zmniejszenie restrykcji ze strony państwa wobec obywateli czy też złagodzenie cenzury. Mówił też o korzyściach wynikających z zawarcia podczas jego prezydentury porozumienia o rezygnacji ze strony Iranu z rozwoju programu nuklearnego w zamian za zniesienie bądź złagodzenie sankcji. Argumentował, że poprawa stosunków z Zachodem wzmacnia Iran, natomiast polityka konfrontacji „może zaprowadzić Iran na skraj konfliktu”.

Porozumienie to było krytykowane przez siły konserwatywne, których zdaniem Iran poszedł na zbyt daleko idące ustępstwa, zyskując w zamian zbyt mało korzyści. Do najbardziej aktywnych krytyków Rouhaniego należał publicznie wspierający jego

konkurenta Ghalibaf, twierdząc, że kraj nie wykorzystuje swoich potężnych własnych zasobów z powodu nieudolnego zarządzania i korupcji. Zarzucił też Rouhaniemu faworyzowanie bogatych obywateli kosztem biednych wskazując na to, że w okresie jego prezydentury zwiększyła się liczba ludzi ubogich. Istotnie, pomimo wzrostu gospodarczego szacowanego na powyżej 4 proc. PKB stopa bezrobocia doszła w ubiegłym roku do poziomu 12,4 proc. tj. o 1,4 proc. więcej w porównaniu z rokiem poprzednim. Na takich faktach opierała się propaganda wyborcza konserwatystów. Ra'isi zapowiadał stworzenie milionów miejsc pracy, do czego kluczem miał być oczywiście islam i bliżej niejasne „dżihadystyczne zarządzanie”. Choć obietnica ta nie ma umocowania w realiach gospodarczych, to miała na celu zyskanie sobie wyborców wśród bezrobotnych i biedniejszej części elektoratu. Ra'isi miał nadzieję na powtórzenie sukcesu Ahmadineżada, który swojego czasu wygrał właśnie zdobywając głosy takich ludzi. Wynik wyborów pokazał jednak, że zdecydowana większość Irańczyków opowiedziała się za wizją dalszej demokratyzacji, a nie za mglistymi obietnicami socjalnymi padającymi z ust religijnego konserwatysty. – Iran wybrał otwarcie na świat, odrzucając ekstremizm – tak Rouhani skomentował wyniki elekcji w swoim pierwszym powyborczym wystąpieniu. Co on sam zamierza zrobić z problemami społecznymi, których istnienia nie sposób zaprzeczyć? Niestety, trudno wyrokować.

Kampania wyborcza przybierała momentami bardzo ostrą formę. Podczas występów telewizyjnych obydwa główni kandydaci nie przebierając w słowach oskarżali się nawzajem o korupcję. Ponadto Rouhani ostrzegł Korpus Strażników Rewolucji Islamskiej, najbardziej wpływową siłę militarną w kraju oraz działającą pod jej nadzorem paramilitarną formację ochotniczą, Związek Mobilizacji Uciemiężonych (Basidż) przed ingerencją w kampanię wyborczą. – Mam tylko jedną prośbę do Basidż i Korpusu: niech zostaną na swoich miejscach i zajmą się swoją działalnością – mówił Rouhani. „Retorykę nienawiści” skrytykował ajatollah Ali Chamenei i choć nie wymienił nikogo

po nazwisku, to i tak było wiadomo, że słowa te odnosiły się przede wszystkim do Rouhaniego. Chamenei oficjalnie nie popierał żadnego kandydata, a w swoich publicznych wystąpieniach apelował jedynie o udział obywateli w wyborach. Wiadomo jednak, że jego faworytem był Ra'isi.

Zaliczany do frakcji o twardej konserwatywnej linii ideologicznej, jest jednocześnie znaczącą postacią wśród szyckiego kleru, będąc jednocześnie szefem organizacji powołanej do zarządzania wielkim kompleksem religijnym – świątynią imama Rezy w Meszchedzie, świętym miejscu szytów przyciągającym 20 mln pielgrzymów rocznie. Jego linia polityczna jest zatem niewątpliwie bliższa Chameneiego niż relatywnie postępowego Rouhaniego. Według irańskich mediów Ra'isi może być szykowany na następcę Chameneiego, który w lipcu kończy 78 lat. Niewykluczone zatem, że start w wyborach prezydenckich był przygrywką do objęcia przez niego najwyższego urzędu w państwie. Zgodnie bowiem z obowiązującym w Iranie teokratycznym systemem władzy, to nie prezydent, lecz duchowny mający tytuł Najwyższego Przywódcy jest faktyczną głową państwa – jak nie przymierzając Jarosław Kaczyński w państwie jeszcze nie teokratycznym. To najważniejszy ajatollah sprawuje nadzór nad siłami zbrojnymi, podejmuje decyzje w zakresie bezpieczeństwa, obrony i kluczowych kwestii dotyczących polityki zagranicznej. Natomiast w gestii prezydenta znajduje się bieżące administrowanie, polityka ekonomiczna i socjalna czy edukacja. W takim układzie Rouhani będzie w dużym stopniu uzależniony od Chameneiego. I będzie musiał sobie z tym radzić – tak jak to czynił przez poprzednią pięcioletnią kadencję.

To, ile zdoła osiągnąć irański prezydent, jak daleko będzie mógł się posuwać w przesuwaniu granic wolności w systemie republiki islamskiej (bo nie oszukujmy się, Rouhani nie zamierza i nigdy nie zamierzał zdemontować ani zakwestionować podstaw systemu), zależeć będzie od jeszcze jednego czynnika. Irańskie gesty otwierania się na świat mogą zostać radykalnie

zahamowane, jeśli Zachód, ze Stanami Zjednoczonymi na czele, w dalszym ciągu będzie pozycjonował Teheran w roli jednego z „państw zbójeckich”, strasznych dyktatur, które trzeba – jeśli chwilowo nie da się ich obalić – wszelkimi metodami powstrzymywać. Tymczasem ostatnie gesty prezydenta USA Donalda Trumpa, który udzielił potężnego poparcia największemu wrogowi Iranu w regionie, Arabii Saudyjskiej i pośrednio pobłogosławił ją na interweniowanie „w walce z terroryzmem” także poza swoimi granicami, w Iranie mogą być odczytane tylko na jeden sposób. Czegokolwiek byśmy nie zrobili, jakkolwiek byśmy nie udowadniali tego, że jesteśmy godnym zaufania państwem, z którym można rozmawiać i negocjować, i tak zostaniemy potępieni – taka myśl, wpisująca się w mentalność Irańczyków, pewnie już kiełkuje w głowach ajatollahów. A ci, z potężnymi Strażnikami Rewolucji do spółki, nie zamierzają rezygnować z aspirowania do roli regionalnej potęgi, która odgrywa ważną rolę w budowaniu porządku na Bliskim i Środkowym Wschodzie. Rouhani wprawdzie też nie, jednak pole do sporów strategicznych i kompetencyjnych rysuje się coraz bardziej. Jeden prezydent-reformator, Mohammad Chatami, już z konserwatystami przegrał. Też miał szerokie poparcie społeczne i nie stał na straconej pozycji. Czy Rouhani wyciągnął wnioski z tamtej historii?

Autorstwo: Bolesław K. Jaszczuk

Źródło: Strajk.eu